

Jedna chwila, jedenaście osób, niekończący się łańcuch zdarzeń

# JEDENAŚCIE

Świat Książki

MARK  
WATSON

**JEDENAŚCIE**

# JEDENAŚCIE

MARK  
WATSON

Z angielskiego przełożyła  
*Grażyna Smosna*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
ELEVEN

Redaktor prowadzący  
*Katarzyna Krawczyk*

Redakcja  
*Beata Soboń*

Redakcja techniczna  
*Agnieszka Gąsior*

Korekta  
*Krzyszyna Śliwa*  
*Anna Sidorek*

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.  
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp z o.o., Warszawa 2010

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobą, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobą trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakiegokolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki  
Warszawa 2010  
Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

ISBN 978-83-247-2442-0

Nr 45067

*Dla Kit*

# I

Przejmująco zimna lutowa noc, Londyn zasypany. Płatki śniegu wirują w blasku latarni i otulają miękkim szalem śpiące na parkingach samochody.

Po jednym z takich parkingów, znajdującym się na tyłach betonowego budynku w zachodniej części miasta, w poszukiwaniu odrobiny ciepła krąży wychudzony lis, zostawiając za sobą kokieteryjne ślady łapek, którymi za kilka godzin będą się zachwycać pierwsi przechodnie. Pięć pięter wyżej, przez coraz bardziej oblepione śniegiem okna radiowego studia, Xavier Ireland obserwuje, jak lis szuka jakiegoś osłoniętego zakamarka w cieniu kontenera na śmieci.

– Na waszym miejscu zostałbym w domu, w ciepłe – zwraca się do niewidzialnych, rozrzuconych po całym Londynie słuchaczy – i zadzwonił do nas. Już za chwilę wysłuchamy historii mężczyzny, który ma na swoim koncie trzy małżeństwa... i tyle samo rozwodów.

– Au! – Murray, współprowadzący i producent programu, kwituje słowa Xaviera w charakterystyczny dla siebie, niewyszukany sposób, po czym wciska guzik, wpuszczając na antenę kolejną piosenkę.

– Ależ tam pięknie – odzywa się Xavier.

– Rano całe miasto ogarnie ch-ch-chaos – jąka się Murray.

W roku dwa tysiące trzecim Xavier rozpoczął pracę asystenta w rozgłośni radiowej: był gońcem, parzył herbatę, wpi-

nał kable. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczył śnieg. Kilka tygodni wcześniej wyemigrował z Australii. W tym czasie zmienił nazwisko – wcześniej nazywał się Chris Cotswold – i rzucił się w wir nowego życia w odległym kraju, w którym mieszkał co prawda kilka lat jako dziecko, lecz od chwili wyjazdu nie był ani razu. Dziś, tak jak wtedy, z zachwytem obserwował delikatne płatki śniegu, które w krótkim czasie były w stanie przykryć całą ulicę. Ten wciąż egzotyczny widok i przejmujący chłód przypominały mu również, że niemal cała kula ziemską dzieliła go od domu i przyjaciół.

Z biegiem czasu Xavier awansował z gońca na pomocnika Murraya, a w końcu role się odwróciły i teraz to Xavier był doradcą ogromnej rzeszy cierpiących na bezsenność słuchaczy ich audycji radiowej.

– Zastanawiam się, co jest ze mną nie tak – mówi obecny rozmówca, pięćdziesięciodwuletni nauczyciel mieszkający samotnie na uboczu dzielnicy Hertfordshire.

Mężczyzna dzwoni z telefonu komórkowego, połączenie jest tak złe, że części wypowiedzi w ogóle nie słychać. Murray przesuwa palcem po gardle, sugerując przejście do następnego słuchacza – nauczyciel żali się na antenie od dobrych trzech minut – ale Xavier kręci głową.

– Jestem przecież porządnym człowiekiem – ciągnie załamany mężczyzna o nazwisku Clive Donald, który po zakończeniu rozmowy zapadnie w krótki, niespokojny sen, a następnie wstanie, włoży szary garnitur i wsiądzie do samochodu z trzydziestoma podręcznikami do matematyki zapakowanymi w sfatygowaną teczkę, którą ciśnie na tylne siedzenie. – Na... na przykład wspieram akcje charytatywne. Interesuję się tym i owym. Nie mam żadnego – widocznego na pierwszy rzut oka – defektu. Dlaczego więc moje małżeństwa się rozpadły? Czy popełniam ciągle te same błędy?

– Branie całej winy na siebie to najprostsze, lecz niekoniecznie najlepsze, rozwiązanie – tłumaczy Xavier nauczycielowi i reszcie słuchaczy przyklejonych do odbiorników

w całym mieście. – Uwierz mi, zmarnowałem miesiące, a właściwie lata, analizując swoje błędy. W końcu zmusiłem się, by przestać o nich myśleć.

Clive, pokrępowany na tyle, by odłożyć słuchawkę i iść spać, dziękuje wreszcie Xavierowi i żegna się z nim.

Murray naciska guzik.

– A teraz prawdziwy miód na wasze dusze, oto wiadomości – mówi. – Do usłyszenia za chwilę.

Następnie wychodzi na korytarz, otwiera drzwi przeciwpożarowe, wpuszczając do środka powiew mroźnego powietrza, i wyjmując papierosa. Śnieg sypie z nieba z nietypową dla Wielkiej Brytanii gwałtownością; wymieszany z gradem i deszczem w niczym nie przypomina rozkosznego, miękkiego puchu. Xavier upija łyk kawy z żółtego kubka z napisem GRUBA RYBA i rysunkiem przedstawiającym tłustego szczupaka. Kilka lat temu dostał go od Murraya na Gwiazdkę. Ostentacyjna praktyczność w połączeniu z nieporęcznością prezentu odzwierciedlają do pewnego stopnia charakter ofiarodawcy.

Kilka mil dalej Big Ben widoczny ze studia Xaviera przy lepszej pogodzie wybija drugą.

– A oto najświeższe wiadomości. – Beznamiętny kobiecy głos, który płynie z bardzo daleka, rozbrzmiewa jednocześnie na antenach rozgłośni radiowych w całej Wielkiej Brytanii. – Gdy za kilka godzin Brytyjczycy otworzą oczy, zmierzają się z problemem najcięższych od dziesięciu lat opadów śniegu.

Co za dziwne sformułowanie – myśli Xavier – „Brytyjczycy otworzą oczy”, jakby ich kraj był gigantycznym internatem, którego uczniowie wstają jednocześnie na dźwięk porannej pobudki.

Z wyników słuchalności czterogodzinnej audycji Xaviera wynikało, że w samym Londynie istniała potężna rzesza ludzi, którzy nie spali w nocy z wielu różnych powodów: grafików pracy, niezwykłych hobby, poczucia winy, strachu, choroby oraz – rzecz jasna – sympatii dla jego programu. Xavier

raz jeszcze wygląda przez coraz mniej przezroczyste okno i wyobraża sobie rozciągający się na wiele mil, przysypywany śniegiem Londyn. Oczami wyobraźni widzi Clive'a Donalda, nauczyciela matematyki, jak wolno odkłada telefon, nastawia wodę na herbatę, instynktownie wyjmuje z szafki dwa kubki, a po chwili chowa jeden z nich. Myśli o swoich stałych słuchaczach: kierowcach ciężarówek usiłujących złapać sygnał radia niknący na autostradzie M1 przy wyjeździe z Londynu oraz starsuszkach, które poza nim nie mają się do kogo odezwać. Następnie rozmyśla nad losem półmilionowej grupy Londyńczyków pracujących na nocnej zmianie, z dala od cichych zakamarków parkingu z szukającym schronienia lisem i rosnącą warstwą śniegu.

Jeden z uczniów Clive'a Donalda, siedemnastoletni Julius Brown ważący sto trzydzieści kilogramów, siedzi w swoim pokoju, cichutko łkając. Mimo regularnych treningów na siłowni nie potrafi pozbyć się otyłości. W wieku czternastu lat zaczął przyjmować leki na epilepsję i w efekcie gwałtownie przybrał na wadze. Chociaż żaden z lekarzy nie potrafi tego wytłumaczyć, Julius tyje niemal po wszystkich posiłkach. Każdy dzień jest dla niego pasmem udręk. Kiedy siada, koleldy naśladują odgłos puszczenia wiatrów. Dziewczynki śmieją się w głos, gdy mija je na szkolnym boisku. Julius uczęszcza na kursy informatyczne dla zaawansowanych. Chciałby w przyszłości zostać programistą, ale podejrzewa, że skończy raczej jako szeregowy konsultant pomagający szczupłym ludziom naprawiać ich zawieszające się komputery. Bez wyglądania przez okno wie, że na dworze sypie śnieg – bo wracając do domu z restauracji, w której sobie dorabia, przemarznął na kość. Oddałby wszystko, żeby tylko odwołano jutro zajęcia w szkole.

Niektórzy, na przykład Jacqueline Carstairs, matka chłopca młodszego o kilka lat od Juliusa, wcale sobie tego nie życzą. Jacqueline jest dziennikarką, pracuje jako wolny strzelec. Pisząc na komputerze, uderza w klawisze tak szybko

i mocno, jakby grała na pianinie rocka. Jej mąż zgodził się odwieść rano do szkoły ich syna Frankiego, żeby mogła popracować dłużej w nocy nad zakończeniem artykułu o chilijskim winie. Jeśli zajęcia nie zostaną odwołane, będzie mogła spokojnie popisać także jutro. Lata bycia matką wyculiły jej słuch na tyle, że bez trudu rejestruje ledwie słyszalny dźwięk śniegu spadającego na stojący w podwórku kontener. Jacqueline wklepuje do wyszukiwarki nazwisko chilijskiego aktora obecnie mieszkającego w Wielkiej Brytanii, który występuje w kampanii reklamowej wspomnianego wina.

Psychoterapeutka aktora, doktor Maggie Reiss (wymawiane tak samo jak „Rice”) siedzi właśnie w toalecie swojego domu w Notting Hill. Urodzona w Nowym Jorku, prowadzi londyński gabinet od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku i może się poszczycić znakomitą klientelą ze świata rozrywki, mody i biznesu. Dwa lata temu zdiagnozowano u niej zespół jelita drażliwego, za który obwinia irracjonalne postawy wielu jej klientów: niemożliwe do spełnienia żądania, chorobliwy egoizm, a czasem nawet agresję. Siedząc pod reprodukcją Klimta, którą widziała kiedyś w nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej, spogląda przez okno toalety na przyprószone śniegiem dachy i kominy. Zachodzi w głowę, czy ktokolwiek używa jeszcze kominów, czy też są one wyłącznie ozdobą i jednym ze słynnych, hołubionych przez londyńczyków dziwactw. Maggie zbiera na kolanach czerwoną, jedwabną koszulę nocną i ciężko wzdycha, wędrując myślami ku jednemu ze swoich najbardziej wpływowych klientów: politykowi, który jak wielu mieszkańców tego miasta zdradza – pewnie nawet w tej chwili – swoją żonę. Dzisiejsza sesja z nim należała do wyjątkowo trudnych. Groził Maggie, że ją pozwie, jeśli naruszy tajemnicę lekarską i rozpowie o jego ekscesach. Do diabła z nim – myśli, a w odpowiedzi jej żołądek boleśnie się przewraca. – Wcale nie muszę się tak czuć. Mam gdzieś, czy ten facet przeżyje, czy umrze.

Tymczasem w mieszkaniu kilka pięter niżej George Weir, emerytowany murarz, naprawdę umiera. Maggie i on kilka razy powiedzieli sobie na ulicy „dzień dobry”, lecz nigdy nie mieli okazji porozmawiać. Podczas gdy Xavier pije kawę trzy mile na zachód od ich bloku, George doznaje ataku serca, bezskutecznie usiłując zaczerpnąć powietrza, jakby dostęp do niego blokowała niewidzialna przeszkoda. Wijąc się z bólu, milimetr po milimetrze czołga się w stronę telefonu, aby zadzwonić do córki, na co i tak jest już za późno – nie zdołałaby mu pomóc. Urodził się w Sunderland i w tym tygodniu obchodziłby swoje siedemdziesiąte urodziny. Następnego dnia planował wyprawę na kręgle, lecz i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ z powodu śnieżycy klub będzie zamknięty. W przyszłym tygodniu również, w geście szacunku dla zmarłego George’a.

Jedną z jego ostatnich myśli przed śmiercią jest wspomnienie lekcji łaciny, kiedy to nie potrafił odmienić czasownika – *audere*, czyli odważyć się – za co nauczyciel, pan Partridge, zbił go linijką po dłoniach. Ponad pięćdziesiąt lat później George jest w stanie podać właściwą odmianę. Nieprzerwanie walcząc o oddech, przypomina sobie, jak na wieść o śmierci pana Partridge’a, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, poczuł ulgę, że pokolenie przesadnie skrupulatnych, sadystycznych nauczycieli, którzy zatruli mu szkolne lata, wreszcie zaczęło wymierać. A teraz, gdy i on umiera, czeka go takie samo zapomnienie, jak pana Partridge’a i całą resztę.

Chryste Panie – myśli z niedowierzaniem – choć nigdy nie był przesadnie wierzącym czy uczuciowym człowiekiem. Nie pozwól, by tak to się skończyło. A jednak to koniec. Wkrótce serce George’a całkowicie się zatrzyma, a zanim Xavier i Murray dotrą do domu, będzie czekał z odrzuconą w tył głową i zastygłymi w bezruchu ustami, aż zostanie odnaleziony przez jednego z sąsiadów Maggie. Za kilka dni Xavier wyjrzy przez okno swojego salonu i zobaczy karawan z ciałem

George'a, sunący pokrytymi resztkami śniegu ulicami miasta w stronę cmentarza Abbey Park. Jednak na razie nasz bohater patrzy na uśpiony Londyn, w którym bezustannie rozgrywają się drobne, niezauważone przez nikogo zdarzenia.

– Wracamy na antenę za cz-cz-czterdzieści pięć sekund – oświadcza Murray, sadowiac się na obrotowym krześle, i przez chwilę lekko się na nim kręci. Xavier myśli jeszcze przez chwilę o nocy sprzed pięciu lat, kiedy po raz pierwszy na własne oczy ujrzał śnieg, a potem szybko wraca do rzeczywistości: chłodnego studia oraz domagających się jego uwagi słuchaczy.

Kiedy wracają do domu, czyli tuż po czwartej, drogi pokrywa gruba warstwa śniegu. Xavier mierzący metr dziewięćdziesiąt siedzi po stronie pasażera, opatulony skórzaną kurtką i przytupuje nogami, by się rozgrzać. Murray, krępy mężczyzna z burzą włosów na głowie, prowadzi samochód tak zapamiętale i żywiołowo, jakby powoził narowistym rumakiem.

– Nieźle nam wyszedł ten dzisiejszy program – mówi, odzrucając w tył bujne kręcone włosy. – Tylko ten facet z trzema żonami niepotrzebnie wszedł nam w paradę. Trzeba się go było szybciej pozbyć.

– Moim zdaniem musieliśmy z nim porozmawiać. Wydawał się naprawdę samotny.

– Dobry z ciebie człowiek, Xavier.

– Za dużo powiedziane.

Nie wiedzieć czemu, w samochodzie zapada krępująca cisza. Murray chrząka. Monotonny szelest wycieraczek potęguje wrażenie, że zbiera się, żeby coś powiedzieć.

– W-w-wyberzemy się na wieczór szybkich randek? Jutro, do takiego jednego klubu w C-Camden.

– Słucham?

– No wiesz, szybkie randki. Za jednym zamachem poznasz wiele kobiet, a potem...

– Tak, słyszałem. Poważnie chcesz tam iść?

Murray pociera nos wolną ręką.

– Cóż, obaj j-j-jesteśmy wolni od j-jakiegoś czasu. – Jąkanie nasilało się w momentach zdenerwowania, kiedy to głos Murraya zaczynał przypominać starą, zacinającą się maszynę do pisania. Klawisz z literą „J” szwankował częściej niż reszta.

– Dobrze mi samemu, stary.

– Mnie nie.

Samochód wpada w lekki poślizg na zakręcie i ledwie omija skrzynkę na listy, przykrytą grubą warstwą śniegu.

– Nie sądzę, bym był idealnym partnerem do tego rodzaju zabawy. Nie mogę się przecież przyznać, że jestem tym Xavierem z audycji radiowej. Pomyśl, jakie by to było krępujące, gdyby któraś z tych kobiet okazała się naszą słuchaczką.  
DOPISAC NA TEJ STRONIE

– Możesz przecież użyć swojego dawnego imienia. Przedstaw się jako Chris. Właściwie to nie rozumiem, dlaczego z-zdecydowałeś się na zmianę.

– Mniejsza o imię. I tak będą ciekawe, czym się zajmuję.

– Wymyślisz jakiś zawód.

– A więc namawiasz mnie do poznania dwudziestu pięciu kobiet i oszukania ich, jedną po drugiej?

– Przecież one też będą kłamać – tłumaczy Murray. – Tak właśnie postępują ludzie, którzy chcą zyskać na atrakcyj-j-j-ności.

Murray skrupulatnie włącza kierunkowskaz, choć poza nimi na drodze nie ma żywej duszy. Samochód zaczyna toczyć się w dół po stromym zboczu, zbliżając się do domu przy Bayham Road 11.

– Czy naprawdę sądzisz, że to dobry sposób, by kogoś poznać? – pyta Xavier. – Setka przelotnych rozmów w hałaśliwym barze?

– A znasz jakiś lepszy?

Xavier wzdycha. Prawie wszystko wydaje się lepszym sposobem. Murray powinien wiedzieć, że ze swoim jękiem nie wypadnie najlepiej podczas trzyminutowej randki. Oczywiście Xavier jako jego przyjaciel nie może mu tego powiedzieć.

– Niech będzie. Przynajmniej wykreślimy tę pozycję z listy potencjalnych możliwości.

Już po chwili Xavier maszeruje ścieżką. Jego stopy zapadają się zadziwiająco głęboko w śnieg niczym świeczki w urodzinowy tort. W pewnym momencie odwraca się i macha Murrayowi na pożegnanie.

Na ubiegłorocznym przyjęciu gwiazdkowym dla pracowników przemysłu radiowego pewna wpływowa producentka – niska i przy kości, za to na niebotycznych obcasach – usiłowała namówić Xaviera, by zostawił Murraya i postarał się o własny program. Nie było to niczym nowym. Podobne sugestie pojawiały się od chwili, gdy imię Xaviera zaczęło coś znaczyć w branży.

– Nie obraż się, ale ten facet nie pozwala ci na rozwinięcie skrzydeł – krzyczała, pochylając się w stronę Xaviera i ziejąc oparami alkoholu prosto w jego twarz. Należała do gatunku bezustannie wrzeszczących kobiet, jakby z racji niskiego wzrostu jej głos przyzwyczał się do pokonywania dużych odległości. – Nie pozwala ci się wybić... Jak on właściwie ma na imię?

– Murray.

– Dokładnie tak, skarbie. – Chwyliła Xaviera za nadgarstek, jakby chciała poprosić go do tańca lub pocałować.

Jako że nie jest częstym bywalcem przyjęć, poufale gesty ze strony liczących się w branży osób nie przestają zaskakiwać Xaviera.

– Parę dni temu rozmawiałam o tobie z kilkoma naprawdę ważnymi ludźmi – rzuciła nazwiska. – Powinieneś się wkręcić do telewizji. Mówię poważnie, kamera cię pokocha.

A jeśli nawet wolisz radio, to i w nim możesz zajść naprawdę wysoko. Pod jednym warunkiem: że będziesz wspinał się sam.

Xavier rzucił niepewne spojrzenie w kierunku stojącego w przeciwnym końcu sali Murraya, który bezskutecznie usiłował się włączyć do ożywionej rozmowy prowadzonej przez grupkę osób zdecydowanie bardziej wygadanych niż on.

– Przemyślę to.

– Koniecznie – odparła, wciskając mu w dłoń swoją wizytówkę.

Włożył ją do kieszeni spodni i nie wyjął aż do tej pory. Oczywiście nie powiedział o niczym Murrayowi. Jak zawsze w takiej sytuacji skłamał, że nie rozmawiał z producentką o niczym ważnym.

Xavier obserwuje, jak prowadzony niepewną ręką samochód przyjaciela podskakuje raz po raz, mozolnie wspinając się na szczyt wzgórza.

Kiedy Xavier leży już w łóżku, w poczekalni między jawą i snem, jego myśli wędrują z powrotem do rozmowy w samochodzie oraz dnia, w którym zmienił imię, dwa tygodnie po przylocie do Londynu. O dziwo, sama procedura nie była szczególnie podniosła. Wystarczyło wypełnić kilka formularzy, zanieść je do szarego budynku w Essex i poczekać kilka dni na list z potwierdzeniem. Wybór nowego imienia i nazwiska okazał się o wiele trudniejszy.

Najpierw zdecydował się na inicjały: XI, za którymi przemawiało kilka powodów. Po pierwsze, XI było niezbyt popularnym, ale liczącym się słowem, dzięki któremu wygrał turniej scrabble’a w tym samym tygodniu, w którym zmienił imię. Oczywiście litery te oznaczają w rzymskim zapisie liczbę jedenaście, do której zawsze był przywiązany. Nic dziwnego więc, że wylądował w domu przy Bayham Road 11. Xavier było pierwszym imieniem na literę X, jakie przyszło mu na myśl. Nie kierował się niczym szczególnym również przy